

Dwa razy „Inkarno”

KAZIMIERZ BRANDYS, „Inkarno. Komedia kryminalna. Fragmenty w Teatrze Kameralnym we Wrocławiu w reżyserii Piotra Paradowskiego i scenografii Franciszka Starowickiego; premiera w Teatrze „Ateneum” w Warszawie w reżyserii Wandy Łaskowskiej i scenografii Andrzeja Sadowskiego.

Dürrenmatt umieścił akcję swoich „Fizyków” w zakładzie dla chorych psychicznie. W Polsce sztuce o pacjentach domu wariatów napisał torunski aktor i literat, Zygmunt Woźdan. Jego „Dom bez klamek” wystawił teatr im. Horzycy w Toruniu i teatr „Wybrzeże” w Gdańsku. Jerzy Grbowski umieścił wśród obłąkanych całą swoją wersję „Kordiana”. A oto napisał sztukę: rozgrywaną się wśród chorych psychicznie. Kazimierz Brandys. Sztuka ta różni się jednak od swoich poprzedniczek. Jest mianowicie komedią kryminalną, jak nazwał ją sam autor. Jest zabawą i sensacją jednocześnie, sensacyjna zabawa. Ma w sobie coś z „Kobry” i coś z czarnego humoru „Czerwonej oberży”. Dürrenmatt posługuje się także czepnie schematem powieści czy sztuki kryminalnej, wprowadza do swych utworów element humoru, nazywa je komediami. Tylko, że Dürrenmatt pragnie powiedzieć o świecie coś więcej, filozofuje, moralizuje; a sensacyjna zdarzenia i humor są dla niego środkiem ułatwiającym osiągnięcie zamierzonego celu. Maja wciąż widza, zabawić go i niepostrzeżenie zmusić do myślenia o sprawach bardzo poważnych. U Brandysa inaczej „Inkarno”

jest sensacyjna zabawa i nie trzeba doszukiwać się w tej sztuce filozoficznych, czy psychologicznych głębi. Może nawet była tam początkowo myśl o tym, że każdy człowiek gra kogoś i buduje swoją osobowość wedle pewnej wymyślonej koncepcji. Może była tam głębsza myśl o leczeniu nerwicy i psychoneurwicy? Świetny psychiatra dr Bolesław Allapin twierdził nawet, że teza Brandysa o powszechności zdrowia i choroby jako „stanie niesprzecznym” nie jest wcale tak nonsensowna, jakby się to zjawcom medycyny wydawało. Sprawa ta nie odkrywa jednak w całej konstrukcji sztuki tak wielkiej roli, aby można było na niej opierać myśli przewodnią inscenizacji.

I tu dochodzimy do sedna problemu. Widziałem dwa przedstawienia „Inkarna”: we Wrocławiu i w Warszawie. Było to niezwykle pouczające doświadczenie. Świadczyło jeszcze raz o tym, ile zrobić może dla sztuki teatr. Gdyby ktoś pragnął ocenić sztukę Brandysa tylko na podstawie spektaklu warszawskiego — musiałby wydać o niej sąd bardzo ujemny. Było to wszystko nudne i nieciekawe. Dłuzko się i męczyło, gubiąc się w psychologicznych dociekaniach. A

tymczasem we Wrocławiu publiczność bawi się doskonale. Spektakl jest żywy, wesoły, trzyma w napięciu przez cały czas. W ośrodku o ten sam tekst powstało przedstawienie zupełnie odmienne i nawet lekture sztuki nie pozwala domyślić się aż takich możliwości.

Po prostu we Wrocławiu znalazł się utalentowany młody reżyser, PIOTR PARADOWSKI, który znalazł klucz do „Inkarna”, trafił we właściwy ton, nie ograniczył się do ustawienia sytuacji i sprawdzenia, czy aktorzy poprawnie wypowiadają tekst, lecz opracował sztukę twórczo, wniósł wiele własnych pomysłów, własnej inwencji. Był tu zresztą w całościwie, zgodnie z intencją autora. Ogładamy we Wrocławiu prawdziwą komedię kryminalną. Przez cały czas do końca przedstawienia nie wiadomo, czy bohater jest ukrywającym się zbrodniarzem, czy też tylko chorym psychicznie człowiekiem, który chciał dostać się do kliniki słynnego profesora. Sztuka grana jest lekko, dowcipnie, wesoło, nikt nie usiłuje wgłębiać się w problemy psychoanalizy, czy w teorie leczenia metodą „Inkarno”. Zarówno reżyser, jak i widzowie wiedzą od początku, że jest to tylko żart, pretekst dla komedii, taki dobry jak każdy inny. Nikt nie traktuje tych spraw poważnie. Tak też grają aktorzy. Są prawdziwymi ludźmi, a nie kukłami, a zarazem uczestnikami komedii. Lekko podają dowcipy, grają szybko, są śmiaśni, zabawni i wlagrydorni.

W spektaklu „Ateneum” wszystko jest na opak. Reżyser usiłował doszukać się w „Inkarnie” głębszej treści, zgubił zaś jej podsta- wowe elementy: sensację i humor. Aktorzy siła się na groteskę, zamiast grać komedie. Nawet tak utalentowany artysta, jak JAN MATYJASZKIEWICZ nie umiał znaleźć właściwego tonu dla roli Profesora. We Wrocławiu ARTUR MŁODNICKI był bezbłądny: trochę kabotyń, trochę szarlatan, trochę

zakochany w sobie mistrz, ale bezspornie Profesor. Godny, pewny siebie, światowa sława. A przy tym Młodnicki grał ironicznie. Był sławnym uczonym i wyśmiewał go jednocześnie. Była to karykatura narysowana leciutką kreską i w najlepszym smaku. Również BOGUSŁAW DANIELEWSKI zagrał znacznie lepiej chorego, który symuluje zbrodniarza, niż LUDWIK PAK. Ulatwila mu zresztą zadanie trafna koncepcja reżysera. Nikt nie odosłonił do końca jego tajemnicy i dlatego mógł być niesamowity, jak zabójca ośmiu kobiet. Również galeria pacjentów Profesora była — we wrocławskim spektaklu znacznie bogatsza, śmieszniejsza, bardziej zindywidualizowana i lepiej opracowana, niż w „Ateneum”. A PIOTR KUROWSKI czy ZDZISŁAW MAKRAKIEWICZ zagraли swoje małe role wręcz znakomicie. W Warszawie jeden tylko MARIAN RULĘA stworzył w roli „Podsiuchwanego” prawdziwą i śmieszna postać. Tak chyba trzeba było zagrać je wszystkie.

Osobliwością warszawskiego spektaklu było wprowadzenie na scenę autentycznych obokrajowców w rolach profesora Koshito i dyrektora Burungu. CZIMED DANZAN miał złotą skórę i skośne oczy, jak autentyczny Japończyk, zaś ODIA OMAGE był autentycznie ciemnoskóry. Obaj wyglądali na scenie bardzo sympatycznie. Tylko że sztuka Brandysa nie wymaga wcale autentyzmu, lecz właśnie kompozycji. Jest realistyczna, ale znacznie bardziej umowna, niż to się reżyserce wydawało. I dlatego wymaga innego rodzaju zabiegów. Widoczne to było nawet w scenografii. FRANCISZEK STAROWICKI dał we Wrocławiu to funkcjonalne i skomponowane. Dekoracja wzbudzała uśmiech od pierwszej chwili, kiedy tylko kurtyna poszła w górę. ANDRZEJ SADOWSKI zaprojektował w „Ateneum” czystą i ładną scenografię. Nie było w niej tylko dwóch elementów: nie miała w sobie niczego niepokojącego i nie była dowcipna. A więc grzebała efekt spektaklu, podobnie, jak reżyseria.

Wrocław pobit Warszawę. Jeszcze raz okazało się, że po Polsce „provincji” jest dziś w Warszawie sprawa względna. Przynajmniej w teatrze. A sztuka Brandysa znalazła się w „Ateneum” pod gruzami przyćmiewkiej reżyserii i braku zrozumienia jej istotnych walorów.

ROMAN SZYDŁOWSKI